Wiślańska biblioteka o Zaolziu

Data publikacji: 23.02.2015 14:45

Sporo o współczesnym Zaolziu dowiedzieli się ci, którzy w czwartkowe popołudnie 19 lutego przyszli do Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Jana Śniegonia w Wiśle. Gośćmi zorganizowanego tam ''Wieczorku zaolziańskiego'' byli poeta Marek Słowiaczek z Boconowic oraz dziennikarz Jarosław jot-Drużycki z Warszawy.

Prowadząca spotkanie Renata Czyż, dyrektor biblioteki przedstawiła obu autorów. Na wstępie zauważyła, że etnograf i dziennikarz Jarosław jot-Drużycki już w samym tytule swej książki „Hospicjum Zaolzie" zawarł tezę, iż polskość na Zaolziu umiera, podczas gdy poeta Marek Słowiaczek, który w grudniu zeszłego roku wydał swój pierwszy tomik poezji „Cisza skrzydeł", jest żywym zaprzeczeniem tejże tezy. Okazało się jednak, iż obaj autorzy w pewnych dotyczących stanu polskości na Zaolziu kwestiach mają podobne spostrzeżenia. Obaj zwracali przede wszystkim uwagę na brak kontaktu mieszkających po obu stronach granicy państwowej Polaków pomiędzy sobą. – ***Na Zaolziu czas jakby się pod względem kultury zatrzymał. Nie ma na Zaolziu imprezy bez „Budki Suflera", ale mało kto zna współczesnych piosenkarzy. Zaolziańscy Polacy mają komputery czy komórki z czeskim systemem operacyjnym, a przecież wystarczyłoby przełączyć na polski kilkoma kliknięciami*** – zauważał Drużycki dochodząc do wniosku, że Polacy na Zaolziu żyją w czeskiej kulturze. Opowiadał, jak kiedyś przypadkowo spotkany, mieszkający 5 km od granicy Polak zapytał „czy wy też tam w Polsce macie euro?". Niewiedza taka dobitnie świadczy o tym, że Zaolziacy Polską się nie interesują.

Spostrzeżenia te potwierdził Słowiaczek. Studiował on w Krakowie i wspomina, iż jego rodacy z Zaolzia na studiach w mieście Kraka mieli poważne problemy zarówno językowe, jak i wynikające z nieznajomości współczesnej kultury polskiej. Ironią jest fakt, iż, jak zauważył Słowiaczek, gdy granicy państwowej nie wolno było przekraczać, to zaolziańskie środowiska literackie miały stały kontakt ze środowiskami literackimi w Polsce, wydawano w Polsce utwory zaolziańskich autorów, a Zaolziacy sięgali po polską literaturę współczesną. Teraz, gdy granica stoi otworem i nikt kontaktów nie zabrania, praktycznie ich nie ma.

Renata Czyż zauważyła, że poezja Słowiaczka nie jest ludowa. Poeta przyznał, że nigdy nie napisał ani jednego utworu gwarą, ani jednego też po czesku. - ***Zawsze było mi bliżej do polskości, niż do ludowości. Może to kwestia wychowania w rodzinie. Mama jest z Trzyńca, tata z Boconowic. To 10 km, a różnice językowe już były widoczne*** – stwierdził poeta, który nie tylko posługuje się literacką polszczyzną, ale także w swych wierszach nie eksponuje atrybutów zaolziańskości. Wydana przez niego książka to to tomik poetycki z Zaolzia, w którym nie ma Zaolzia. Nie ma w jego wierszach Gutów, Kozubowej, kopalnianych szybów Zagłębia Karwińskiego. Tematyka jego wierszy jest bardzo osobista.
- ***Nigdy nie chciałem literacko być związany z ziemią, choć nie wypieram się, skąd jestem*** – wyjaśniał Słowiaczek. - ***To ciekawe, że poeta z Zaolzia musi tłumaczyć się przed czytelnikami, że w jego utworach nie ma Zaolzia, podczas gdy poeta z Gdańska nie musiałby tłumaczyć się, że w jego poezji nie ma stoczni*** – zauważył Drużycki.

Jedna ze słuchaczek zapytała poetę, jakim językiem mówi on na co dzień. Otóż okazało się, że wymiennie, w zależności od potrzeb, trzema. W pracy po czesku, w sklepie czy urzędzie zawsze zaczyna rozmowę po naszymu, a jeżeli nie da się dogadać gwarą, to dopiero wówczas przechodzi na czeski, w domu natomiast używa literackiego języka polskiego. Podał też ciekawy przykład. Otóż przyszedł kiedyś do urzędu. Mówił po polsku, a urzędniczka do niego po czesku. Za dwa dni spotkał ją na ulicy i rozmawiał z nią po naszymu. Kiedy na drugi dzień przyszedł do urzędu, ona znów mówiła do niego czysto po czesku. Natomiast obecna na spotkaniu żona, polka pochodząca z głębi Polski, z lubelszczyzny zauważyła, iż zdarzają się sytuacje, że ten sam urzędnik do męża Zaolziaka zwraca się po czesku, podczas gdy z nią rozmawia tak, jak umie, starając się po polsku.

Mocno akcentowanym zarówno przez bohaterów spotkania, jak i słuchaczy tematem była niewiedza Polaków z

Polski o Polakach z Zaolzia, ale też Polaków z Zaolzia o Polsce. Odbierający edukację w Polsce Jarosław Drużycki i Monika Słowiaczek zgodnie stwierdzili, że na lekcjach historii uczono ich o Kresach Wschodnich, ale o Zaolziu nie. - ***Ale w tym miejscu powinniśmy się zastanowić, czy to Polacy z Zaolzia mają krzyczeć „my tu jesteśmy!", czy może to Polska powinna zauważyć, że na Zaolziu są Polacy?*** – zastanawiała się Monika Słowiaczek.

Niewątpliwie spotkania takie, jak to zorganizowane przez wiślańską bibliotekę, są pewnego rodzaju zaczątkiem otwierania się w jedną i drugą stronę, a autorzy tacy, jak Marek Słowiaczek i Jarosław jot-Drużycki mają spore zasługi dla poszerzania wiedzy Polaków z Polski i Polaków z Zaolzia o sobie nawzajem.

(indi)